

Sta

Edward

CHM

**Siekiera
zada**

**albo Zima
leśnych
ludzi**

RA

Edward Stachura

SIEKIEREZADA
ALBO ZIMA LEŚNYCH LUDZI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-76-1

Copyright © Spadkobiercy Edwarda Stachury

Tekst: C&T, Toruń 2002

Dedykuję Gałązce Jabłoni

Dostał się pod koła, pokatulkało go i kaput.
– To rano było. Na ten ekspres do stolicy.
– Ale podobno do ostatniego wagonu skakał.
– Do ostatniego wagonu, ale do przednich drzwi.
– Aha, do przednich drzwi. No tak.
– Tu zrobił błąd. Żeby skoczył nie do przednich, ale do tylnych drzwi ostatniego wagonu, toby się tylko potłukł, ale pod koła by się nie dostał.
– Słuszna racja.
– Pocztowy wagon jest jeszcze na końcu.
– Albo na końcu, albo na samym początku, zaraz za lokomotywą. Rozmaicie doczepiają.

– Może chciał do tylnych drzwi, tylko że może, panie tego, zacięły się.
– Albo się zacięły, albo w ogóle były zamknięte.
– Mogło i tak być. Możliwe. Doleciał do tylnych drzwi, szarpnął za klamkę, zobaczył, że zamknięte, i wtedy poleciał do przodu, do przednich drzwi. Mogło i tak być.
– Miał zginąć i zginął. To jest los.

O tym to zatem więc cały pociąg rozmawiał, szeptał, mruczał i mamrotał z rzadkim zgodnym przejęciem. O tej to śmierci nagłej i niespodziewanej wszyscy rozprawiali w zatłoczonych przedziałach i zawalonych korytarzach jadącego na zachód przez zimowe pola pociągu. Był pociąg, nie ten, ale pociąg jako taki, narzędziem tragedii. Długim nożem, szpadą, siekierą, młotem, zwanym francuskim kluczem, żelaznym łomem tragedii. Koła pociągu to były tryby tragedii, które wkręciły w siebie tego, o którym była ogólna mowa. Był pociąg narzędziem tragedii i wyruszył pociąg z miejsca tragedii. Z tego miasta, gdzie ona się wydarzyła. Był pociąg narzędziem tragedii, wyruszył z miejsca tragedii i w dniu tragedii. Trzy słynne antyczne jedności: akcji, miejsca i czasu. Bo dzisiaj to się stało. Dzisiaj raniutko. Kilka zaledwie godzin temu. Zaledwie temu godzin kilka.

– Żeby pociąg jechał wolno, to jeszcze. Ale to ekspres. Bierze szybkość od razu.
– Też to właśnie. A on zziajany był. Cały czas biegiem leciał. Przez dworzec, po schodach do tunelu, z tunelu potem po schodach na górę, potem po peronie za pociągiem, co ruszył i też był w biegu, jak on. Zmęczyło go to, nie miał siły pod koniec.
– O to się rozchodzi. Nie miał już siły, a jak nie miał już siły, to panie tego, nie miał już dokładnego obliczenia do skoku. Źle wymierzył.

– Może też trochę na bani był. I tak to jedno z drugim, że źle wymierzył sobie skok.
– Z samego rana miał być na bani? Skoro świt? Co pan gadasz, panie?
– No ale mogło tak być, że poprzedniego dnia, panie, popijał do późnej nocy.
– Albo do wczesnego ranka.
– I nie zdążyło mu wywietrzeć.
– Ja to sobie tak myślę, że on się złapał za wcześniej za poręcz, ot co. Za wcześniej się złapał za poręcz przy drzwiach, a pociąg się rozpędzał i on nie miał czasu się odbić. Pociągnęło go do przodu, a on nie mógł już puścić i wtedy dostał się nogami tam, gdzie nie trzeba, między stopnie pociągu i peron. Trzymał się jeszcze jakiś czas, aż mu ręka zemdląła, i puścił. I wtedy go wkręciło pod spód.

Siedziałem jak wryty na moim worku w korytarzu, nisko, między nogami stojących ciasno, ramię w ramię i noga w nogę, podróżników. Palilem papierosa ostrożnie, w zwiniętej trąbce dłoni, żeby nie przypalić komuś nogawki spodni czy zwanej poły płaszcza. Słuchałem głosów, co ponad głową.

– Kto tam wie, jak to było.
– Może czasami przez te jego ciemne okulary.
– Możliwe. Może mu się zapociły, zarosiły mu się. Zziajany był, a tu mróz, para mu z gardła buchała i okulary mogły mu się zapocić. Mało, że ciemne, to jeszcze zapoccone.

– Po co on nosił te ciemne okulary? Lato, zima – zawsze w nich chodził. Na wszystkich filmach w nich występował.

– Ja widziałem jeden film *Popiół i diament*. To on tam w jednym miejscu mówi do dziewczyny, która go też pyta, po co on chodzi w tych ciemnych okularach? Dlaczego? I on jej mówi, że w okupację, prawie cały czas po kanałach żył, co są pod ulicami. I teraz, po wojnie, musi chodzić w ciemnych okularach, bo go dzienne światło za bardzo kłuje w oczy. Bola go oczy od tego światła. Za bardzo do ciemności mu się oczy przyzwyczyły w tych kanałach.

– Ale to, panie tego, na filmie mówi. To jeszcze nie musi prawda być.

– Nie musi być, ale może być. Bądź co bądź jednak zawsze w tych ciemnych okularach chodził. Na filmie czy nie na filmie. W życiu, znaczy się.

– Tak jest. Jakby nie było.

– Podług mnie to taki człowiek powinien mieć samochód do dyspozycji, a nie żeby musiał za pociągiem ganiać.

– Dadzą mu pośmiertne odznaczenie i cześć.

– A czy mu chociaż dadzą? Dają tylko bohaterom.

– Dla kultury on był bohater.

– Zdolny był. Szkoda chłopaka.

– I to w samą niedzielę zginął.

– Ja to jeszcze raz mówię: miał zginąć i zginął. To jest los. Niedziela czy nie niedziela. To jest los.

Siedziałem jak wryty, jeszcze raz mówię, na moim worku w korytarzu pociągu, nisko, między nogami stojących ciasno, ramię w ramię i noga w nogę, podróżników. Palilem papierosa w zwiniętej żałobnej trąbce dłoni. Palilem ostrożnie, żeby nie przypalić komuś nogawki spodni czy zwanej poły płaszcz. Słuchałem głosów, co ponad głową. Powyżej. Trochę to było tak, jakbym żywcem zakopany był i słyszał głosy stojących nade mną, na powierzchni, ludzi. Trochę to było tak właśnie, ale dużo bardziej tak nie było. Dużo bardziej było tak, że siedziałem na moim worku w zatłoczonym korytarzu pociągu jadącego na zachód przez zimowe pola tej krainy. Cokolwiek bym czuł, gdziekolwiek bym się myślał zapędził, a za nią, za myślą, podążały niektóre lotne części mojego ciała, takie jak serce na siedle oddechu, aerodynamiczna głowa z postawionym żagle włosów i tym podobnie, to jednak przede wszystkim, nie da się tego ukryć, byłem tu, gdzie byłem: w jednym z wagonów pociągu. A nie zakopany pod ziemią. Pod ziemią natomiast, w tych podziemiach, zakopany był, to znaczy niedługo miał być zakopany on. I to nie żywcem, bo żywym mógłby, waląc pięściami i nogami w wieko trumny, spowodować to, żeby go ci na górze, na powierzchni ziemi, usłyszeli i odkopali. Zakopany on miał być w podziemiach nie żywym będąc więc, ale martwym. Choć kilka zaledwie godzin temu żywy był jak ja teraz. Jak ja, który, choć owiany zawiany zamotany w tej chwili doszczętnie śmierci gęstym oparem, ale żywy jestem. Tako żywy i on był zaledwie temu godzin kilka. Witaj, zegarze, w którym czas jest cofniony.

Witaj, zegarze, w którym jest cofnione zaledwie godzin kilka. Przedświt zimowy tego dnia. Perony w szronie, pociągi jeszcze nie rozgrzane w szronie. Ekspres do stolicy zaraz ma odjazd. Miałem jechać na zachód, na robotę do lasu. W kieszeni mam wycięty z gazety adres jednego leśnictwa, które dało anons do działu „Poszukiwanie pracowników”. Że poszukują właśnie robotników do wyrębu lasu. To mi się wydało niezłe w mojej ostatnio sytuacji, z której nie będę się przed nikim tłumaczył. Więc miałem jechać tam, do lasu, a nie do stolicy, ale coś mi strzeliło w ostatniej chwili i zmieniłem zamiar. Czasami trafia mnie coś takiego. Nawet nierzadko. Prawie zawsze poddaję się temu, bo to jest prawie zawsze, że pozwolę sobie tak powiedzieć, głos krwi intonującej nową pieśń. Tylne drzwi ostatniego wagonu są zamknięte. Idę szybko do przednich drzwi. Konduktor stojący dalej w przodzie popędza mnie

chorągiewką. Wchodzę na stopień wagonu i cały ekspres-tabor rusza z miejsca. Naciskam na klamkę i robię taki półobrót w lewo i w bok, żeby się drzwi mogły otworzyć i wtedy, w tym słynnym ostatnim spojrzeniu do tyłu widzę, jak po peronie noguje za naszym pociągiem jakiś spóźniony podróżnik. Nie wchodzę do wagonu, stoję dalej na stopniu, a ten goni. Krzyczę do niego, żeby do mnie leciał, bo tylne drzwi zamknięte na klucz. Facet zmęczony jest, to widać, zziębnięty mocno, ale już jest przy mnie. Poprawiam uchwyt lewej ręki i uchylam się w bok, żeby mu zrobić miejsce na stopniu. On skacze, ja go w locie łapię prawą ręką w pól i jesteśmy uratowani. Odchylam się jeszcze bardziej w lewo, on otwiera drzwi, wchodzi, ja za nim, i idziemy do wagonu restauracyjnego.

- A tego Anglika to nawet nie znaleźli.
- Kampel. To był mistrz szybkości.
- Błękitny ptak.
- Tak się ta jego maszyna nazywała.
- Wybuchła na środku jeziora i on wyleciał razem z nią w powietrze.
- Sto pięćdziesiąt metrów w górę wszystko wyleciało i spadło z powrotem do jeziora.
- Teraz go nurki szukają.
- Co tu szukać, jak wszystko się rozleciało w drobny mak.

Albo inaczej. Witaj, zegarze, w którym czas jest cofniony.

Przedświt zimowy tego dnia. Perony w szronie, pociągi jeszcze nie rozgrzane w szronie. Miałem jechać na zachód, na robotę do lasu, ale coś mi strzeliło w ostatniej chwili, żeby jechać do stolicy. Już mam wchodzić do pociągu, który zaraz ma odjazd, ale w jeszcze bardziej ostatniej chwili odstrzeliło mnie z powrotem, żeby jednak jechać do lasu tak, jak zamierzałem od pewnego czasu, a nie do stolicy, gdzie zresztą akurat nie ma jej, do której tylko jedynie mógłbym spieszyć. Nie wchodzę więc, cofam się, a pociąg rusza. Naraz słyszę tupot po peronie. Jakiś spóźniony podróżnik biegnie za pociągiem. Facet dyszy, jego ciężki oddech na mroźnym powietrzu natychmiast zamienia się w kłęby pary; widzę, że podnosi rękę i robi taki ruch, jakby chciał w biegu przetrzeć ciemne okulary, które ma na oczach. Ja rozpościeram szeroko ramiona i stoję mu na drodze. To wszystko oczywiście dzieje się bardzo szybko. Trwa krócej, niż spokojna, przy herbatce, ewentualna lektura tych słów. On leci na mnie, a ja stoję z otwartymi ramionami, jakbym go miał witać w objęciach, ale to chodzi o to, żeby mu przeszkodzić, żeby nie gonił dalej za pociągiem, bo po co, pojedzie następnym, świat się nie zawali, jeśli tym pociągiem nie pojedzie, a po co ma się stać jakieś głupie nieszczęście przy wskakiwaniu. On leci w bok, żeby mnie ominąć, ale i ja tak samo. To on w drugą stronę, to i ja. I on wpada na mnie. Przewracamy się na peron. Pociąg już jest daleko, gwizdże z dala, my podnosimy się i on albo nic nie mówi, bo rozumie, dlaczego zatrzymałem go w biegu, dlaczego mu stanąłem na drodze z rozpostartymi jak strach na wróble ramionami, albo rozumie, ale mimo to wydziera się na mnie, że co ja sobie myślę, wyzywa mnie od gówniarzy i pętałów, to ja na to też zaczynam go wyzywać od gówniarzy i pętałów i tak to wyzywamy się wzajem, jeden drugiego, ale przecież wyzywając się, czy nawet bijąc się ze sobą, gdyby do bójkę doszło, co jest możliwe, to przecież dwóch żywych ludzi by się biło, i do czegoś takiego, żeby któryś którego zakatrupił, nigdy by nie doszło. Nigdy by nie doszło do tego, żeby któryś z nas pozostał trupem na placu boju, na peronie czy, gibnąwszy się z peronu, na torach, tak, jak się to stało kilka zaledwie godzin temu.

I tak to sobie kombinowałem, jak by mogło być, gdyby mogło być. Przeklęty bądź, zegarze, w którym czas nie może być cofniony. Tak to sobie myślałem, tak to sobie myślałem, siedząc jak wryty na moim worku i wśród innych tobołków między nogami stojących ciasno, noga w nogę, podróżników. Siedziałem jak wryty nie tylko w tym ciasnym wąskim znaczeniu. Siedziałem jak wryty tak, jak się mówi o kimś, że stał jak wryty przed straszliwym widokiem. Albo: stanął jak wryty, kiedy mu doniesiono straszliwą wieść. Więc tak właśnie, w tym podwójnym znaczeniu siedziałem jak wryty i tak sobie polatywałem

myślami w powietrzu przestrzeni. Myślami, nie ciałem w większości swoich elementów niestety nielotnym. Więc myślami tylko. Myślami jestem wszędzie. Tu, tam, jeszcze gdzie indziej i nawet w kilku miejscach – jednocześnie. Więc myślami byłem wszędzie. Między innymi, lecz przede wszystkim, tam byłem teraz: na peronie wczesną godziną tego dnia. Myślami byłem teraz w niedalekiej przeszłości. Zaledwie kilka godzin wstecz. Ciałem, w większości swoich elementów niestety nielotnym, byłem tu, w pociągu sunącym na zachód. Byłem w pociągu, paliłem któregoś tam z kolei papierosa i patrzyłem na zimowe pola i lasy przez wychuchane nisko na zamrzniętej szybie kółeczko, oko na świat, które co chwila zaciągało się lodowym bielmem i co chwila trzeba było chuchać-dmuchać gorącym żywym oddechem, żeby ta szadz, ten zamróz odtajał. Na niego, który dzisiaj zginął, tak chuchnąć, żeby odtajał szczelnie wypełniający mu usta lodowy knebel, szczelnie wypełniający mu gardło lodowy sopel, szczelnie wypełniający mu żyły lodowy zator, szczelnie wypełniający mu serca komory i przedsionki lodowy zawał. Na niego tak chuchnąć, żeby ożył; na innych, co zginęli młodo i głupio; na innych, co zginęli nie tak młodo; na innych jeszcze, co zginęli staro, ale nie chcieli ginąć, nie mieli dość, nie sprzykrzyło im się życie, nie znudziły im się pory roku, nie przejadło powietrze. Na nich wszystkich, mówię, tak chuchnąć, żeby ożyli. Ale cóż! Ciało nasze niestety nielotne, a oddech niebieski.

I co można zrobić? Na organkach coś cichutko zagrać. Wyszperałem organki i zacząłem grać cichuteńko tę cudowną przenajsmutną melodię do straszliwych przenajświętszych wierszy Baczyńskiego: Jenó wyjmij mi z tych oczu szkło bolesne – obraz dni, które czaszki białe toczy przez płonące łąki krwi. Jenó odmień czas kaleki, zakryj groby płaszczem rzeki: zetrzyj z włosów pył bitewny, tych lat gniewnych – czarny pył.

Jak spędziłem wieczór i noc w mieście, na którego długie perony wczesnym zmierzchem tego styczniowego dnia wysiadłem – o tym nie mówmy. Choć byłoby o czym. Ale po co dolewać oliwy do ognia, który i bez tego buzuje wielkim, zachłannym, wszystko pożerającym płomieniem. Więc nie mówmy. Zarzućmy lepiej na to długi szeroki płaszcz, opończę, pelerynę czarną wielką i przejdźmy nad tym do porządku dziennego, do porządku porannego jasnego mądrego cudotwórczego jak każdy nowy poranek. Tak, jak kiedy w kinie się siedzi i jest wieczór przeważnie, a na filmie też powiedzmy jest wieczór, a potem ekran wygasa, ciemnieje i nagle rozjaśnia się ekran, bo jest ranek następnego dnia, film leci dalej, i to światło poranka na filmie rozlewa się po nas, ulga jakaś, radość rozlewa się po nas, choć wiemy, że to na filmie jest poranek, a na sali kinowej jest wieczór ciągle, ale ta radość jest niezależna od naszej wiedzy, od naszej zwanej świadomości o rzeczywistym stanie rzeczy ciemnym wieczornym. I kiedy na filmie zapada znowu zmierzch i potem wieczór, i noc, i ekran znowu ciemnieje, czarno jest, i za chwilę znowu się rozjaśnia, bo jest na filmie kolejny nowy dzień, to znowu odczuwam to, co odczuwam w życiu, kiedy wstaje nowy dzień: radość, ulga, świeżość nowa, rzeźkość, blask głaszcze mnie po rysach i szramach, w kościach mi się fosfor zapala, jeść mi się chce i pić to wszystko, co dookoła, stopy swędzą mnie do ruchu, żeby naprzód iść i tak dalej, i tak dalej. A myśl o śmierci, o śmierci myśl, w tej pierwszej chwili, zanim o niej pomyślę – jest nie do pomyślenia.

Czułem to wszystko, co powyżej wyliczyłem i czego z braku słów nie wyliczyłem, bo był ranek nowego dnia i szedłem po głogowskim bruku w poszukiwaniu fryzjera, żeby się ogolić, albowiem zarosłem już, choć dopiero co przedwczoraj się goliłem. Co było dobre, to było dobre w dawniejszych młodszych czasach, że nie trzeba było golić się tak jak teraz: raz na dwa dni, a nawet nie szkodziłoby co dzień. Raz na tydzień człowiek kiedyś się golił, po łaźni albo przed łaźnią, ale wolałem po łaźni, bo mniej bolała skóra, i spokój był przez cały tydzień ze skrobaniem lic. Potem, z płynięciem czasu, z płynięciem lat, dwa razy na tydzień już trzeba było się golić, a teraz znowu z płynięciem czasu trzy razy w tygodniu trzeba. Co drugi dzień. A nie szkodziłoby codziennie. Więc pod tym względem, jak to się mówi, lepsze

były kiedyś czasy. Ale za to z drugiej strony, nie ma tego złego, co by nie wyszło na dobre, oby! oby! przez to częste golenie się poznałem dosyć nieźle fryzjerskie salony kraju i to dziwne plemię, jakim są fryzjerzy. Nasłuchałem się też prawdziwych, półprawdziwych i zupełnie fantastycznych, od początku do końca zbajerowanych historii, opowieści, scen rodzajowych, obyczajowych i tak dalej, że mógłbym do końca życia siedzieć, jak powiedział o sobie jeden, naprzeciw gołej białej ściany i opowiadać. Ale co do mnie i póki co, to wolę jeszcze chodzić, niż siedzieć. Wolę jeszcze iść, niż tkwić. Tu, tam, na lewo, wprost, a kiedy urośnie mi broda, do fryzjera idę w danej miejscowości. Jeden apropo fryzjer nie tak dawno mnie golił w sławetnym mieście Olkusz, a potem namówił mnie na masaż twarzy przedwojennym elektrycznym aparatem Darsanwala ciskającym iskry przy dotknięciu ze skórą. Piorunował, pikował mi szyję i policzki tymi iskrami i opowiadał przy tym o swoich przygodach na frontach całej Europy podczas drugiej wojny światowej. Gdyby mu wierzyć, to cud boski i bąbelki, że z tego wszystkiego wylazł i stał przy mnie cały i zdrow. Mylił się poza tym, mieszały mu się w tej jego iliadzie różne miasta, miasta-państwa, same państwa, przedstawiał daty bitew, przekręcał nazwiska generałów, wymyślał nowych, nie istniejących, miał mnie za kompletnego frajera, za ostatniego jełopa w domenie geografii i w domenie historii. Co prawda to prawda, że byłem wtedy, jak sobie przypominam, mocno zmizerowany i wyglądałem jak jakiś taki wypłosz. Dlatego chyba, chyba na pewno dlatego, tak sobie używał na mnie. O, bezczelny! Ale bajer miał wielki, to trzeba przyznać. Bajerowszczyk to był chyba największy w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej.

Więc nasłuchałem, oj, nasłuchałem ja się samowitych i niesamowitych fryzjerskich opowieści. Oto są, między innymi, korzyści wieku męskiego, kiedy to błyskawicznie odrastający zarost na twarzy popycha człowieka do częstych odwiedzin fryzjerskich salonów. Od tych częstych odwiedzin fryzjerskich salonów przeszła mi też, poszła w zapomnienie jedna rzecz, którą miałem kiedyś, kiedy rzadko zaglądałem do fryzjera, raz na tydzień i nawet czasami rzadziej. Bardzo głupia historia. Miałem kiedyś, idąc ogolić się do fryzjerskiego salonu, dzikiego stracha, że trafię na fryzjera, który poderżnie mi gardło. Normalny fryzjer, któremu nagle przyszła pewna myśl do głowy i nie może się od niej odczepić, przykleiła mu się do mózgu ta myśl, fryzjer walczy, mociuje się z tą przeklętą myślą, ale nie daje rady, opętała go bez reszty ta myśl, na mózg mu padła ta myśl, na głowę mu padło to ziarno; szedł kiedyś ulicą swojego miasta, dzień był szary, niepozorny, ale nad miastem przelatywał właśnie ten wściekły ptak o łacińskiej nazwie maniakalis-maniakalis i o niezbadanych trasach przelotu, ten właśnie, który ma tę manię otwierania szeroko co pewien czas dziobu, wypluwając przy tym, wymiotując wściekłym ziarnem ze swojego przepelnionego wściekłego wola, i ono, to wściekłe ziarno, padło na głowę idącego ulicą Bogu ducha winnego fryzjera, na mózg mu padło, na tę żyzną glebę, i wyrosła na głowie fryzjera ta wściekła roślina, z tej samej co ptak rodziny maniakalis-maniakalis, fauna i flora wściekle bujna, rozpełzły się promieniście jej pędy, opasały, opętały dokładnie i ciasno całą głowę fryzjera i pewnego dnia, kiedy to nadejdzie ten dzień, dzień kwitnienia, zakwitnie na głowie fryzjera czerwony krwawy kwiat. Tuż po tym zakwitnie, tuż zaraz natychmiast po tym, kiedy fryzjer żyjący już nie swoim życiem, ale życiem rośliny, przeciągnie ostrzem brzytwy po szyi klienta. Najpierw kwiat tryskający z szyi klienta, a zaraz potem na głowie fryzjera tej samej barwy i tego samego odcienia płatków kwiat. Z mojej szyi ten pierwszy kwiat. Bo to ja akurat siedzę na fotelu. Na tronie we krwi. To ja akurat zajechałem do tego właśnie miasta i zaszedłem do tego właśnie fryzjera, i jest właśnie ten dzień: dzień kwitnienia. Fryzjer cesarskim cięciem przecina mojej grdyki pęk i czerwony kwiat zakwita, tryska w górę. Krew zalewa pochyloną przy mnie głowę fryzjera.

Rozważałem kiedyś dokładnie tę całą sprawę. Na kilka tysięcy fryzjerów rozrzuconych po całej pięknej naszej krainie czyż nie mogła któremuś z nich wpaść do głowy i zakiełkować, i zakwitnąć taka idea fiksa, jak mówią Francuzi? Mogła. I miałem z tego

wyvodu pełne gardło strachu. Potem ten strach mi przeszedł, odpadł, odstąpił mnie. Po prostu zapomniałem o tym. Teraz dopiero sobie o tym przypomniałem, kiedy akurat szukam fryzjera, żeby się ogolić. Przypomniało mi się to w samą nieporę, można by powiedzieć. Ale nie. Przestałem się tym przejmować, zaprzestałem, zaniechałem myślenia nad tysiącliczebnymi możliwościami nagłej i niespodziewanej mojej śmierci. Wyzbyłem się tych spekulacji. To jest ziemia jałowa. Piątej, szóstej klasy grunt. To jest sam piach, gdzie nic nie urośnie albo prawie nic. To jest Pustynia Błędowska takie myślenie. Nie prowadzi do niczego ten rozważań nurt. Do niczego dobrego.

To, że wyzbyłem się tych nieszczęsnych myśli, wskazywałoby na to, że jednak nie jest ze mną tak źle, że nie jest ze mną najgorzej. A ta mgła ta mgła? Wracając do śmierci, to ta sprawa wygląda u mnie tak: z jednej strony, jak mówiłem, poniechałem obłądnych, obłądowskich spekulacji o tym: jak zginę? gdzie? kiedy? z czyjej ręki? z czyjej poręki? jaki połknie mnie wir? jaka planeta zmiażdży mi płowy łeb? jaka kometa? jaki i czym podkuty but? i tak dalej i tak dalej. Więc to z jednej strony. Z drugiej strony jednak dobrze wiem, doskonale wręcz się orientuję, że śmierć ani na moment mnie nie opuszcza, na głowie wiecznie mi siedzi, na czole mam ją wypisaną, przy nodze mojej zawsze wiernie jest. Więc to z drugiej strony. A z trzeciej strony to z płynięciem czasu, z biegiem lat coraz bardziej nie wierzę we własną śmierć, zupełnie nie widzę siebie jako umarłego. Trochę inaczej mówiąc: zupełnie nie widzę tego świata beze mnie. Więc tak się sprawy mają i pomimo że wygląda to wszystko dosyć bardzo skomplikowanie, dosyć bardzo nawet paradoksalnie, to ja tu nie widzę żadnej sprzeczności, żadnego zamętu ni przepychanki. Na mój rozum wszystko tu jest w porządku: szafa gra, komoda tańczy, a ja siedzę na parapecie okna, bujam nogami, piję piwo, czekam na helikopter i serce mi wali.

Znalazłem fryzjerski salon i wkroczyłem doń. Pusto było. Żywego ducha. Zdjąłem kapotę i powiesiłem na wieszaku. Worek postawiłem poniżej. Trzy stały przed lustrami puste fotele. Usiadłem na środkowym, pod białym, na czerwonym tle, orłem, wiszącym w ramce na ścianie, wysoko, prawie pod sufitem, jak przystało na królewskiego ptaka. Nikt się nie zjawiał, ani szef, ani fajfus-pomagier, czyli uczeń-czeladnik, więc wyciągnąłem papierosy z kieszeni i zapaliłem. Siedząc naprzeciw prostokątnego dużego lustra, trudno było nie patrzeć na nie i na tego, który tam w głębi lustra siedział na fotelu, paląc papierosa. Trudno, mówię, było na niego nie patrzeć i trudno mi było na niego patrzeć, jak by tu powiedzieć, bezuczuciowo. Z obojętnością. Jak na kogoś obcego, gdyby tak było, że na obcego patrzę z obojętnością. Co tak nie jest. Zatem więc, nie patrząc na obcego z obojętnością, jak mógłbym na siebie w ten właśnie sposób patrzeć, na swoje własne w lustrze odbicie. Widzę w tym miejscu w kinie pamięci kogoś, kto powiedziałby, że można. Można, na obcego nie patrząc z obojętnością, na siebie patrzeć w ten właśnie obojętny sposób. Można też na wszystkich patrzeć z obojętnością, tak na siebie, jak i na innych. To już jest mniej niezrozumiałe.

Ale wróćmy do nich. Wróćmy do tych dwóch siedzących naprzeciw siebie w jednakowej pozycji, jednakowo palących papierosa, jednakowo na siebie patrzących, z jednakim uczuciem. Jeden w głębi lustra i drugi w głębi lustra. W trzydziesty rok życia wchodziliśmy ostrym susem, to nie jest tak mało, trzydzieści dłuższych i krótszych lat razem przebywaliśmy i przemierzaliśmy równiny, doły, padoły i wystawiające spiczaste piszczele kurhany, to lekkim klusem, to pełnym galopem, to kulejąc, to czołgając się, i jak mógłbym nie przywiązać się do tego typu tam w głębi lustra, a ja z drugiej strony w głębi lustra. Patrzyłem na tę twarz zmieniającą się prawdopodobnie z płynięciem czasu, mniej lub więcej, pogłębiały się zatoki czołowe, gdzie rodzą się najczulsze myśli, włosy płowiały coraz bardziej pod tysiącem słońc, oczy czego nabierały? Blasku czy matowego odcienia? Jaśniały w tej chwili bardziej niż w dawniejszych młodszych czasach czy też traciły ze swojego ognia? Pytam, bo nie wiem. Dla mnie zmiany jakieś, jeśli w ogóle zachodziły, były jak na razie niewidoczne. Ja nie widziałem różnicy. Dla mnie ta twarz i cała postać były takie same

jak w dawniejszych młodszych czasach.

Jeśli mówię młodsze czasy, to nie dotyczy to mnie. Młodsze czasy mówię w tym znaczeniu, że młodszy był wiek ziemi, wiek planety. Bo moje młode czasy, młodość moja nigdy nie była młodsza niż teraz i jak na razie będzie dalej szła młodziej, czuję to jeszcze zupełnie nieźle, całym ciałem, a jeszcze rozumem, i niech mnie nikt nie straszy. Niech mnie nikt nie straszy, że być może, być może, owszem, jest taka teoria, a do pewnego stopnia nawet praktyczna możliwość, ale prędzej czy później przyjdzie nieuchronnie czas, kiedy się będzie po drugiej stronie wzgórza i będzie się o tym nieodwracalnie wiedziało, o tym, że idzie się w dół po stoku, na pochybel, a nie w górę na słoneczny niebotyczny szczyt. Zaszłe i zachodzące zmiany na twarzy, na całym ciele i wewnątrz maszynierii będą aż nazbyt widoczne. No i dobrze, ale niech mnie nikt tym na razie nie straszy. Kiedy przyjdzie ten czas, jeśli w ogóle przyjdzie, jeśli go do siebie dopuszczę, to powiem o tym. Opowiem o tym, kiedy przyjdzie ta pora, ten wieczór z zagadki Sfinksa, kiedy to chodzi się na trzech nogach, czyli starość oparta o laskę. A ta mgła ta mgła?

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI